Z tobą nie umiem się żegnać

Każde pożegnanie odwleka pytanie o wspólne jutro



Laura Bellini

Z tobą nie umiem się żegnać

Każde pożegnanie odwleka pytanie o wspólne jutro

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384906101

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie było w planie 12
Rozdział 2 - Między projektem a zaufaniem 22
Rozdział 3 - To, czego nie widać na pierwszy rzut oka 34
Rozdział 4 - Rzeczy, których nie wpisuje się do umowy 44
Rozdział 5 - Prawo do własnego czasu 58
Rozdział 6 - Chwila, której nie da się zaprojektować 66
Rozdział 7 - Po pocałunku nic nie jest już całkiem zwyczajne 77
Rozdział 8 - Poza ramami 86
Rozdział 9 - Ryzyko, którego nie dało się odłożyć 98
Rozdział 10 - Nie tylko na chwilę 108
Rozdział 11 - Poranek bez niedopowiedzeń 117
Rozdział 12 - Termin, którego nie było w naszym kalendarzu 127
Rozdział 13 - Nie za cenę tego, co zbudowałam 140
Rozdział 14 - To, czego każde z nas może stracić 150
Rozdział 15 - Adres tymczasowy 160
Rozdział 16 - Granica, której nie da się przesunąć 172
Rozdział 17 - Życie, którego nie chciałam odkładać 181
Rozdział 18 - Pierwszy krok w stronę domu 190
Rozdział 19 - Powrót, który wymaga decyzji 201
Rozdział 20 - Wspólne jutro 211

INTRO

Toruń pachniał tamtego wieczoru mokrym brukiem, świeżo parzoną kawą i papierem, który przez lata przechowywał cudze historie. Lubiłam takie wieczory. Miasto zwalniało po całym dniu, światła odbijały się w witrynach, a ludzie, którzy przyszli na wystawę, przez kilka godzin patrzyli na plakaty tak, jakby każdy z nich mógł opowiedzieć coś więcej niż tylko historię wydarzenia, do którego kiedyś zachęcał.

Stałam przy wejściu do galerii, z kieliszkiem białego wina w dłoni i notesem schowanym pod pachą. Miałam czterdzieści jeden lat i wiedziałam już, że niektóre rzeczy trzeba zaplanować samodzielnie, jeśli chce się mieć pewność, że kiedykolwiek się wydarzą. Własna galeria była jedną z nich. Nie odziedziczyłam jej, nie dostałam w prezencie i nie zawdzięczałam żadnemu człowiekowi, który uznałby, że wie lepiej, jak powinnam prowadzić swoje życie. Zbudowałam ją powoli, czasem z uporem, który inni nazywali przesadą, a ja koniecznością.

Tego wieczoru chciałam świętować coś więcej niż udaną wystawę. Następnego dnia miałam potwierdzić warunki nowej umowy najmu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, galeria zyska przestrzeń na stałą ekspozycję i niewielkie archiwum polskiego plakatu. Po raz pierwszy od dawna nie musiałabym zastanawiać się, czy za rok będę w tym samym miejscu. Nie musiałabym budować wszystkiego od początku, szukać kolejnego lokalu ani tłumaczyć właścicielowi budynku, dlaczego papierowe prace wymagają odpowiedniego światła i wilgotności.

Miałam plan. Konkretny, rozsądny i mój.

— Salomeo, powinnaś zobaczyć, jak ludzie zatrzymują się przy tej serii — powiedziała Marta, moja współpracowniczka, podchodząc z pustą tacą. — Niektórzy stoją po kilka minut.

Spojrzałam w stronę ściany, na której wisiały plakaty z lat siedemdziesiątych. Ich kolory nieco wyblakły, ale kompozycje wciąż miały w sobie odwagę, której brakowało wielu współczesnym projektom.

— To dobrze. Nie sprowadziliśmy ich tutaj po to, żeby ktoś przeszedł obok w trzy sekundy.

Marta uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że tak powiesz.

— Bo to prawda.

Przesunęłam palcem po krawędzi notesu. W środku miałam listę spraw do załatwienia przed zamknięciem galerii: sprawdzić zabezpieczenia, odebrać od fotografa kilka ujęć, potwierdzić jutrzejszą godzinę spotkania w sprawie umowy i wysłać wiadomość do drukarni. O dwudziestej pierwszej chciałam być już w domu. Nie zamierzałam po raz kolejny zostać do późna tylko dlatego, że ktoś uznał, iż właścicielka galerii powinna osobiście dopilnować każdego kieliszka i każdej rozmowy.

Właśnie wtedy zobaczyłam go w drzwiach.

Nie od razu rozpoznałam twarz. Najpierw zauważyłam sposób, w jaki stał, jakby nie chciał przeszkadzać nikomu w przejściu, choć jednocześnie nie zamierzał się wycofać. Miał ciemny płaszcz, rozpięty kołnierz koszuli i te same spokojne ruchy, które pamiętałam sprzed lat. Dopiero kiedy podniósł głowę, zrozumiałam, kto przyszedł.

Bolesław Kłos.

Przez krótką chwilę galeria stała się miejscem z innego czasu. Zniknęły rozmowy, muzyka i cichy stuk kieliszków. Został człowiek, którego nie widziałam od tak dawna, że zdążyłam przyzwyczaić się do jego nieobecności. Nie zapomniałam go. To nie to samo.

Miał czterdzieści sześć lat. Włosy przy skroniach lekko posiwiały, twarz nabrała wyrazistszych rysów, ale jego spojrzenie pozostało znajome. Zawsze patrzył tak, jakby słuchał jeszcze zanim ktoś zaczął mówić. Była w tym uważność, która kiedyś sprawiała, że łatwo opowiadałam mu rzeczy, o których nie rozmawiałam z nikim innym.

Teraz nie byłam pewna, czy nadal potrafiłabym to robić.

Zauważył mnie. Nie pomachał, nie uśmiechnął się szeroko, nie ruszył od razu w moją stronę. Po prostu zatrzymał wzrok na mojej twarzy, a potem skinął głową. Ten drobny gest był bardziej niebezpieczny, niż powinien. Nie zawierał żadnej obietnicy, a jednak przywołał pamięć wszystkich rozmów, które kiedyś wydawały nam się zbyt ważne, żeby je kończyć.

Odstawiłam kieliszek na pobliski stolik.

— Nie mówiłaś, że znasz Bolesława — odezwała się Marta, która podążyła za moim spojrzeniem.

— Znam — odpowiedziałam.

— To chyba ktoś ważny.

— Kiedyś był.

Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak chłodno. Nie chciałam również, żeby zabrzmiało inaczej.

Bolesław ruszył w moją stronę. Po drodze zatrzymał się przy jednym z plakatów. Pochylił głowę, przyjrzał się podpisowi autora, a potem odsunął o krok, żeby zobaczyć

całą kompozycję. Wciąż robił to samo. Najpierw szczegół, potem całość. Był projektantem książek i potrafił godzinami dyskutować o proporcjach marginesów, kroju liter oraz o tym, dlaczego pusta przestrzeń na stronie bywa ważniejsza od drukowanego tekstu. Kiedyś drażniłam się z nim, że widzi świat jak rozkładówkę.

Wtedy odpowiadał, że ja widzę go jak plakat, czyli wszystko naraz.

— Salomea — powiedział, kiedy znalazł się przede mną.

Moje imię w jego ustach zabrzmiało zwyczajnie. I właśnie dlatego tak trudno było mi odpowiedzieć.

— Bolesław.

Przez moment żadne z nas się nie odezwało. Z bliska dostrzegłam drobne zmarszczki przy jego oczach i ślad zmęczenia, którego nie ukrywał. Nie wyglądał na człowieka, który przyjechał tu przypadkiem. W prawej dłoni trzymał cienką teczkę, a na mankiecie płaszcza miał kroplę deszczu.

— Ładna wystawa — powiedział.

— Dziękuję. Przygotowywałam ją przez kilka miesięcy.

— Wiem.

To jedno słowo zatrzymało mnie skuteczniej niż pytanie. Skąd wiedział? Czy śledził informacje o galerii? Czy ktoś mu opowiadał? A może po prostu zobaczył zapowiedź w internecie, tak jak setki innych osób?

— Nie spodziewałam się ciebie — przyznałam.

— Ja też nie byłem pewien, czy przyjdę.

— To dość osobliwy sposób podejmowania decyzji.

Kącik jego ust uniósł się lekko.

— Zawsze uważałaś, że powinienem podejmować ich więcej.

— A ty zawsze uważałeś, że nie musisz podejmować żadnej, dopóki można jeszcze zostawić sobie otwarte drzwi.

Uśmiech zniknął, ale nie odwrócił wzroku.

— Nie zmieniłaś się aż tak bardzo.

— Zmieniłam się wystarczająco, żeby nie lubić takich uwag.

— Przyjmuję do wiadomości.

Nie było w jego głosie ironii. Raczej coś, co mogłabym uznać za ostrożność. Przez chwilę miałam ochotę zapytać, dlaczego naprawdę przyszedł, ale powstrzymałam się. Nie chciałam dawać mu przewagi tylko dlatego, że kiedyś znał mnie lepiej niż większość ludzi.

— Jesteś tu przejazdem? — zapytałam.

Spojrzał na teczkę.

— Tym razem mam konkretny powód.

— Rozumiem.

Nie rozumiałam. I nie zamierzałam udawać, że jest inaczej.

Marta pojawiła się obok nas z dwoma kieliszkami. Podała jeden Bolesławowi, a mnie obdarzyła spojrzeniem, które obiecywało późniejszą rozmowę.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

— To moja galeria. Gdybyś przeszkadzał, wiedziałbyś o tym pierwszy.

Roześmiał się cicho. Ten dźwięk również pamiętałam. Nie dlatego, że był wyjątkowy, ale dlatego, że zawsze pojawiał

się w chwilach, kiedy próbowałam być bardziej surowa, niż naprawdę czułam.

— W takim razie zostanę chwilę — powiedział.

— Wystawa potrwa jeszcze dwie godziny.

— Nie pytałem o wystawę.

Spojrzałam na niego uważniej. W jego twarzy nie było dawnej beztroski, a jednak wciąż potrafił zostawić zdanie niedokończone w taki sposób, żeby człowiek sam chciał dopisać resztę.

— Bolesław, jeśli masz mi coś do powiedzenia, możesz powiedzieć to teraz.

Przez moment przesunął kciukiem po krawędzi teczki.

— Chciałbym z tobą porozmawiać o pewnym projekcie. O albumie.

— Albumie?

— Takim, który warto zrobić porządnie. Nie tylko zebrać obrazy i opatrzyć je podpisami.

Poczułam, że mój wieczór właśnie zmienił kierunek. Nie wiedziałam jeszcze, czy chodziło o propozycję zawodową, czy o próbę znalezienia pretekstu do spotkania. Nie chciałam zgadywać. Wystarczająco dużo razy w życiu pomyliłam cudze zamiary z własnymi nadziejami.

— Mam jutro ważne spotkanie — powiedziałam. — I kilka decyzji, które nie mogą czekać.

— Nie zamierzam prosić cię o odpowiedź dzisiaj.

— To dobrze.

— Ale chciałbym, żebyś przynajmniej wysłuchała, co mam do zaproponowania.

Spojrzałam na jego teczkę, potem na ludzi oglądających wystawę. Wszystko wokół nadal funkcjonowało zgodnie z planem. Goście rozmawiali, Marta pilnowała poczęstunku, a światło nad plakatami wydobywało z papieru odcienie, które tak starannie wybierałam. Moje życie nie zatrzymało się na widok Bolesława. Nie zamierzałam pozwolić, żeby tak się stało.

A jednak nie powiedziałam mu, żeby wyszedł.

— Jutro po południu — zdecydowałam. — Godzina. Rozmowa o albumie. Bez niespodzianek.

— Dobrze.

— I nie traktuj tego jak obietnicy współpracy.

— Nie będę.

Wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją, choć przez tę krótką chwilę dotarło do mnie, jak wiele pamiętałam z człowieka, którego przecież prawie nie znałam już w teraźniejszości. Jego dłoń była ciepła, uścisk spokojny, pozbawiony dawnej poufałości. Nie próbował zatrzymać mojej ręki ani przedłużyć tego gestu.

— Miło było cię zobaczyć, Salomeo.

— Ciebie również.

Odwrócił się w stronę wyjścia, a ja wróciłam do rozmowy z jednym z gości. Zdołałam odpowiedzieć na dwa pytania o pochodzenie plakatu i polecić katalog wystawy, zanim zorientowałam się, że wciąż patrzę na drzwi.

Nie wiedziałam, czy jego pojawienie się było początkiem czegoś, czego nie potrafiłam jeszcze nazwać, czy tylko kolejnym spotkaniem z przeszłością, która nie miała już prawa decydować o moich wyborach. Wiedziałam

natomiast, że jutro o piętnastej usiądę naprzeciwko niego i wysłucham propozycji dotyczącej albumu.

Miałam swoje plany, swoje miejsce i życie, które nauczyłam się układać bez czekania na kogokolwiek.

Nie potrafiłam tylko odpowiedzieć sobie na jedno pytanie: dlaczego, kiedy Bolesław znów pojawił się w moim świecie, tak trudno było mi uznać, że jego obecność może być jedynie chwilowa?

Rozdział 1 - Warunki, których nie było w planie

Następnego dnia o piętnastej siedziałam już w swoim gabinecie, z dwiema filiżankami kawy na stole i dokumentami dotyczącymi nowej umowy najmu ułożonymi w równy stos. Poranne spotkanie przebiegło pomyślnie. Udało mi się uzgodnić warunki, na których zależało mi najbardziej, choć ostateczny podpis miał nastąpić po sprawdzeniu kilku zapisów przez prawnika. Po raz pierwszy od miesięcy mogłam patrzeć na przyszłość galerii bez konieczności liczenia, ile czasu zostało mi do końca obecnej umowy. Ta myśl powinna była wystarczyć, żeby poprawić mi humor na cały dzień.

Tymczasem co kilka minut zerkałam na zegar.

Nie dlatego, że czekałam na Bolesława. Przynajmniej tak sobie tłumaczyłam. Chciałam po prostu zamknąć sprawę albumu, poznać szczegóły propozycji i wrócić do własnych obowiązków. Wczorajsza rozmowa nie zobowiązywała mnie do niczego. Jedna godzina, żadnych niespodzianek, żadnych obietnic. Były to zasady wystarczająco jasne, żeby nie pozostawiać miejsca na niepotrzebne interpretacje.

O piętnastej trzy zadzwonił dzwonek przy wejściu.

Bolesław pojawił się w drzwiach gabinetu z teczką pod pachą i niewielkim papierowym opakowaniem w dłoni.

— Przyniosłem coś do kawy — powiedział.

— Nie umawialiśmy się na poczęstunek.

— W takim razie potraktuj to jako próbę przekupstwa.

— Od razu uprzedzam, że jestem droga.

— Pamiętam.

Położył opakowanie na stoliku. Były w nim dwa niewielkie ciastka z lokalnej cukierni, tej samej, do której chodziliśmy kiedyś po długich godzinach spędzonych nad projektami. Nie zapytałam, czy pamiętał to miejsce specjalnie, czy po prostu znalazł je po drodze. Nie chciałam zaczynać spotkania od rozmowy o wspomnieniach.

Wskazałam mu fotel naprzeciwko biurka.

— Mamy godzinę.

— Wystarczy, jeśli nie będziemy rozmawiać o pogodzie.

— Nie zamierzałam.

Usiadł, wyjął z teczki kilka arkuszy i położył je przede mną. Pierwszy przedstawiał rozkładówkę książki. Nie katalogu wystawy, nie zwykłego albumu z reprodukcjami. Projekt miał wyraźną koncepcję: duże fotografie plakatów, fragmenty typografii, krótkie teksty o autorach i kontekstach powstania prac. Na kolejnych stronach znalazłam propozycję podziału na części oraz przykładową okładkę roboczą.

Przez chwilę zapomniałam, że siedzi naprzeciwko mnie człowiek, z którym jeszcze wczoraj wymieniałam ostrożne uprzejmości.

— To twoje? — zapytałam.

— Moje. Na razie wstępne.

Przesunęłam palcem po jednej z rozkładówek. Zastosował dużo pustej przestrzeni, ale nie pozostawił plakatów samych sobie. Każda praca miała miejsce, żeby wybrzmieć, a jednocześnie tekst nie wyglądał jak dodatek wciśnięty w ostatniej chwili przez redaktora.

— Dobre — przyznałam.

— Spodziewałem się bardziej rozbudowanej krytyki.

— Nie myl mojego milczenia z brakiem uwag. Najpierw chcę zrozumieć, co właściwie proponujesz.

— Album o polskim plakacie, ale opowiedziany przez ludzi i miejsca, które go przechowały. Nie encyklopedia, nie przegląd najważniejszych nazwisk. Chciałbym pokazać, jak plakat żył poza pracownią projektanta. Jak trafiał na ulice, do kin, teatrów, mieszkań, a później do prywatnych kolekcji.

Spojrzałam na kolejną stronę. Znalazłam tam fotografię fragmentu starego plakatu teatralnego, którego kolorystyka była mi dobrze znana.

— Skąd to masz?

— Z twojej strony internetowej. Zdjęcie z wystawy sprzed dwóch lat.

— Nie masz zgody na wykorzystanie tej pracy.

— Wiem. Dlatego jest tylko w makiecie.

Podniosłam wzrok.

— Dobrze, że przynajmniej to wiesz.

— Nie przyszedłem zabierać ci plakatów.

— Każdy tak mówi, dopóki nie zaczyna się rozmowa o prawach do reprodukcji.

Uśmiechnął się, ale nie próbował rozładować napięcia żartem.

— Dlatego chciałbym pracować z tobą, a nie tylko korzystać z twojej kolekcji. Znasz ludzi, którzy przechowują te rzeczy od dziesięcioleci. Wiesz, które historie są prawdziwe, a które z czasem urosły do rozmiarów legendy. Potrafisz odróżnić plakat, który warto pokazać, od takiego,

który jest interesujący wyłącznie dlatego, że ktoś wpisał go do katalogu.

— A ty potrafisz zrobić z tego książkę?

— To akurat mogę udowodnić.

Nie odpowiedziałam od razu. Przewróciłam kolejne strony. Widać było, że przygotował się starannie. Nie ograniczył się do kilku ładnych przykładów. Miał wstępny podział tematyczny, propozycję formatów reprodukcji, a nawet miejsce na krótkie rozmowy z kolekcjonerami. Zauważyłam jednak, że większość nazwisk i źródeł pozostawił pustych.

— Masz pomysł, ale nie masz materiału.

— Mam część materiału. Nie mam jeszcze partnerki, która pomogłaby mi zdecydować, co rzeczywiście powinno się w nim znaleźć.

— Czyli chcesz, żebym wykonała za ciebie połowę pracy.

— Chcę, żebyśmy wykonali ją razem.

— To brzmi znacznie lepiej w rozmowie niż w umowie.

Oparł przedramiona na kolanach.

— Możemy od razu przejść do umowy.

To mnie zaskoczyło. Spodziewałam się raczej opowieści o artystycznej wizji, która miałaby usprawiedliwić niejasny podział obowiązków. Tymczasem Bolesław wyjął kolejną kartkę. Znajdowała się na niej propozycja podziału ról. On odpowiadałby za projekt graficzny, skład i redakcję wizualną. Ja za wybór prac, ich opisy, kontakt z właścicielami i weryfikację informacji. W osobnym punkcie zaznaczył równorzędne autorstwo koncepcji.

— Dlaczego równorzędne? — zapytałam.

— Bo bez ciebie powstałaby inna książka.

— Mogłaby powstać książka bez mojej pomocy.

— Mogłaby. Nie byłaby jednak tą, którą chcę zrobić.

Powiedział to spokojnie. Bez przesadnego komplementu, bez próby schlebienia mi. Właśnie ta prostota sprawiła, że trudniej było mi zbyć jego słowa.

Odłożyłam kartkę.

— Jest jeszcze jedna sprawa. Nie chcę, żeby album stał się reklamą galerii.

— Nie proponuję katalogu twojej działalności.

— Nie chcę również, żebyś wykorzystał moje kontakty, a później podpisał wszystko własnym nazwiskiem.

— Dlatego wpisałem autorstwo koncepcji dla nas obojga.

— Wstępnie.

— Oczywiście. Ustalimy szczegóły.

Podeszłam do okna. Z gabinetu widziałam fragment sali wystawowej i ludzi, którzy nadal przychodzili obejrzeć ekspozycję. Na ścianie naprzeciwko wisiał plakat, którego reprodukcję przed chwilą oglądałam w jego makiecie. Przypomniałam sobie, ile czasu zajęło mi przekonanie właściciela tej pracy, żeby pozwolił ją wypożyczyć. Nie zamierzałam ryzykować zaufania kolekcjonerów dla projektu, którego zasady nie zostały jeszcze określone.

— Skąd w ogóle pomysł na ten album? — zapytałam. — Dlaczego teraz?

Bolesław przez chwilę przyglądał się swoim notatkom.

— Dostałem propozycję przygotowania koncepcji wydawniczej. Mała oficyna szuka projektu poświęconego polskiemu plakatowi. Nie chcą kolejnej publikacji opartej na

tych samych nazwiskach i reprodukcjach. Interesuje ich coś bardziej osobistego, ale nadal dobrze udokumentowanego. Mam trzy tygodnie na przedstawienie kompletnej propozycji.

— A potem?

— Jeśli ją zaakceptują, przechodzimy do produkcji. Dostajemy budżet na reprodukcje, redakcję i przygotowanie materiałów.

— Dostajemy?

— Jeśli zgodzisz się wejść w ten projekt.

Przyjrzałam mu się uważnie.

— Nie rozmawiałeś ze mną wcześniej, a już uwzględniłeś mnie w swojej propozycji?

— Nie wpisałem cię jako współautorki bez zgody. Przygotowałem miejsce na twoją część i zaznaczyłem, że projekt wymaga partnerstwa kuratorskiego.

— Czyli jeszcze niczego nie obiecałeś w moim imieniu?

— Nie.

— Dobrze. Nie lubię, kiedy ktoś decyduje za mnie.

— Tego akurat nigdy nie lubiłaś.

W jego głosie pojawiła się nuta dawnej znajomości. Nie zaprzeczyłam. Pamiętał mnie jako kobietę, która potrafiła przerwać rozmowę, jeśli ktoś próbował przejąć nad nią kontrolę. Być może nadal taka byłam. Zmieniło się tylko to, że teraz nie musiałam już nikomu udowadniać, że potrafię sama prowadzić własne sprawy.

Wróciłam do biurka i usiadłam.

— Mam własny plan na najbliższe miesiące. Galeria będzie się rozwijać, mam umowę do sfinalizowania,

przygotowuję kolejną wystawę. Nie mogę podporządkować wszystkiego twojemu projektowi.

— Nie oczekuję tego.

— Potrzebuję harmonogramu. Terminów, odpowiedzialności i jasnych zasad dotyczących kontaktu z właścicielami prac. Nie będę dzwonić do ludzi i tłumaczyć im, że projektant akurat zmienił koncepcję.

Bolesław skinął głową.

— Rozumiem.

— Nie wiem, czy rozumiesz. Potrzebuję kogoś, kto będzie obecny w pracy. Nie tylko wtedy, kiedy akurat ma ochotę przyjechać do Torunia.

Przez moment milczał. Potem zamknął teczkę, ale nie odsunął jej od siebie.

— Nie chcę ci obiecywać czegoś, czego nie będę mógł dotrzymać.

— To rozsądne podejście.

— Pracuję w kilku miejscach. Mam klientów w różnych miastach, terminy, które czasem się przesuwają. Nie zawsze będę tutaj.

— Można pracować zdalnie.

— Można. Ale nie chcę udawać, że będę miał stałe godziny w twojej galerii.

Zrozumiałam, że właśnie dotknęliśmy czegoś ważniejszego niż organizacja pracy. Nie powiedział, że nie chce współpracować. Nie próbował również przekonać mnie, że wszystko da się jakoś ułożyć. Mówił o swoim życiu tak, jakby jego ruchliwość była niepodlegającym dyskusji faktem.

— Nie potrzebuję, żebyś siedział tutaj codziennie — odpowiedziałam. — Potrzebuję wiedzieć, kiedy mogę na ciebie liczyć.

— To mogę ustalić.

— I dotrzymywać terminów.

— Tak.

— Nawet jeśli będziesz w innym mieście?

— Wtedy szczególnie.

Popatrzyłam na niego z lekkim niedowierzaniem.

— Zawsze byłeś dobry w składaniu deklaracji.

— A ty zawsze byłaś dobra w sprawdzaniu, czy mają pokrycie.

— To akurat zamierzam zachować.

Tym razem uśmiechnął się szerzej.

Przez następną część spotkania rozmawialiśmy już o konkretach. Ustaliliśmy, że nie będzie żadnego wykorzystania materiałów bez pisemnych zgód, a każda praca zostanie sprawdzona pod względem pochodzenia i stanu zachowania. Zaproponowałam, żeby album nie był chronologicznym przeglądem twórczości, lecz opowieścią o tym, jak plakaty trafiały do ludzi i dlaczego niektóre z nich przetrwały w prywatnych zbiorach. Bolesław od razu podchwycił ten pomysł i dopisał go na marginesie makiety.

Zauważyłam, że nie przerywał mi, kiedy mówiłam. Nie próbował poprawiać moich sformułowań ani wstawiać własnych pomysłów w środek wypowiedzi. Słuchał, a potem odpowiadał konkretnie. Kiedy wskazałam, że jedna z reprodukcji jest zbyt mocno przycięta, od razu zapytał o możliwość pozyskania pełnego oryginału.

To była jedna z cech, które kiedyś w nim ceniłam. Umiał potraktować cudzą uwagę nie jak atak na własną kompetencję, ale jak szansę na zrobienie czegoś lepiej.

O szesnastej pięć odsunęłam dokumenty.

— Na dzisiaj wystarczy.

— Zostało nam jeszcze pięć minut.

— Właśnie dlatego mówię, że wystarczy. Nie zamierzam wykorzystywać każdej minuty tylko dlatego, że ją zarezerwowałam.

Wstał i zaczął zbierać arkusze. Zatrzymał się jednak przy jednej z rozkładówek.

— Chciałbym, żebyś ją zachowała.

— Po co?

— Żebyś mogła spokojnie ocenić projekt. Nie musisz odpowiadać dzisiaj.

— Wiem.

Podał mi kartki. Nasze palce nawet się nie zetknęły. Mimo to przez krótką chwilę miałam świadomość, jak niewiele potrzeba, żeby zwyczajna rozmowa o pracy zaczęła przypominać coś znacznie mniej bezpiecznego.

— Odezwę się jutro z propozycją harmonogramu — powiedział.

— Ja prześlę ci listę warunków dotyczących materiałów i praw do reprodukcji.

— Dobrze.

Odprowadziłam go do drzwi gabinetu. W głównej sali Marta właśnie rozmawiała z dwojgiem zwiedzających. Bolesław zatrzymał się jeszcze przy jednym z plakatów.

— Ten jest świetny — powiedział.

— Wiem. Dlatego wisi w centralnym miejscu.

— Nadal nie pozwalasz, żeby ktoś cię przekonał do zmiany decyzji.

— Jeśli ma dobry argument, pozwalam.

— A jeśli ma tylko ładny uśmiech?

— Wtedy musi się bardziej postarać.

Zaśmiał się cicho.

— Postaram się o argumenty.

Kiedy wyszedł, przez chwilę stałam przy drzwiach, patrząc na ulicę. Nie próbowałam go zatrzymać. Nie było ku temu powodu. Mieliśmy omówić projekt, a później zdecydować, czy warto w niego wejść.

Wróciłam do gabinetu i jeszcze raz przejrzałam jego makietę. Na jednej ze stron znalazłam mały odręczny dopisek: „Nie wszystkie rzeczy, które przetrwały, zostały ocalone przez przypadek".

Przeczytałam go dwa razy.

Nie wiedziałam, czy napisał to z myślą o plakatach, czy o czymś zupełnie innym. Nie zamierzałam pytać.

Wiedziałam natomiast, że po raz pierwszy od dawna ktoś zaproponował mi projekt, który nie wymagał ode mnie rezygnacji z własnych planów, a jednocześnie był na tyle interesujący, że chciałam się nad nim zastanowić.

Pozostawało jeszcze ustalić, czy Bolesław potrafił pracować z kimś, kto nie zamierzał dopasowywać całego życia do jego kalendarza.

Rozdział 2 - Między projektem a zaufaniem

Następnego ranka przyszłam do galerii wcześniej niż zwykle. Chciałam przygotować dla Bolesława materiały, zanim pojawi się pierwszy gość, i sprawdzić, czy jego propozycja nadal wydaje mi się równie interesująca przy świetle dnia. Wieczorem przeczytałam makietę jeszcze raz, zaznaczyłam kilka fragmentów i sporządziłam listę pytań. Nie znalazłam powodu, żeby odrzucić projekt, ale nie oznaczało to jeszcze zgody na współpracę.

Na stole w zapleczu ułożyłam trzy plakaty, które mogłyby stać się punktem wyjścia do albumu. Każdy reprezentował inny sposób myślenia o obrazie i tekście. Jeden pochodził z kolekcji galerii, drugi został mi powierzony przez prywatnego właściciela, a trzeci od lat znajdował się w archiwum rodziny zaprzyjaźnionej z jednym z toruńskich teatrów. Nie wszystkie miały kompletne dokumenty. Właśnie dlatego nie chciałam, żeby ktoś fotografował je bez wcześniejszego sprawdzenia historii.

Bolesław miał przyjść o dziesiątej. O dziewiątej pięćdziesiąt siedem dostałam wiadomość.

„Jestem pod galerią. Nie chcę wchodzić, zanim nie skończysz przygotowań. Daj znać, kiedy mogę”.

Przeczytałam ją z lekkim zdziwieniem. Większość ludzi, którzy przychodzili do mnie w sprawach zawodowych, traktowała umówioną godzinę jako prawo do natychmiastowego wejścia. Bolesław najwyraźniej nie zamierzał tego robić.

Odpisałam: „Możesz wejść. Jestem na zapleczu”.

Chwilę później usłyszałam jego kroki.

— Dzień dobry — powiedział, stając w progu.

— Dzień dobry. Kawa?

— Jeśli masz.

— Mam. Ale najpierw praca.

— Brzmi jak twoje powitanie.

— Nie pamiętam, żebyś kiedyś narzekał.

— Nie narzekałem. Zawsze wiedziałem, czego się spodziewać.

Przygotowałam mu miejsce przy stole. Zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku, a potem podszedł do plakatów. Nie sięgnął po żaden z nich. Zatrzymał się w odpowiedniej odległości i przez chwilę oglądał wszystkie trzy.

— Ten środkowy jest w gorszym stanie, niż wygląda na zdjęciu — zauważył.

— Papier jest kruchy. Nie był przechowywany w odpowiednich warunkach.

— A ten z prawej?

— Ma ślad po wcześniejszym mocowaniu. Właściciel nie chce go poddawać żadnym zabiegom konserwatorskim.

— Rozsądnie. Nie każda ingerencja pomaga.

Spojrzałam na niego. Nie spodziewałam się, że zwróci uwagę na stan zachowania, zanim zapyta o kolorystykę czy jakość reprodukcji.

— Właśnie dlatego nie chcę, żebyśmy od razu robili zdjęcia.

— Nie będziemy. Najpierw musimy ustalić, co rzeczywiście możemy wykorzystać.